

TEATR LUDOWY

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU TEATROW LUDOWYCH

ROCZNIK XXII — NR. 12 — GRUDZIEŃ 1950

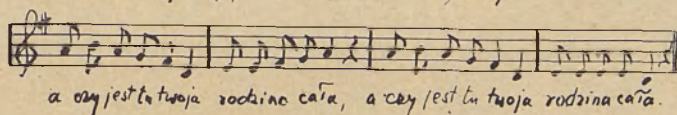
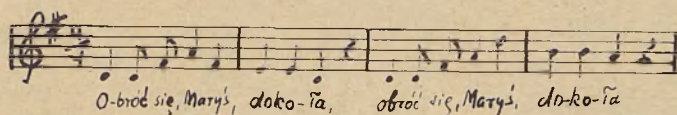
WARSZAWA, TAMKA 1. TEL. 325-49. P. K. O. NR. 3464



W tej chwili słysząc znów śpiew Aniołów „Gloria, gloria“, wszyscy klękają i zaraz zaczynają śpiewać, a po skończonej kolendzie wstają, Stary Pasterz idzie do szalasu, zabiera dar dla Dzieciątka, poczem przeprowadzony przez całą gromadę z wolna wychodzi. Wszyscy wyprowadzają go, śpiewając wesołą kolendę.

Jadwiga Turowiczówna

INSCENIZACJA PIEŚNI LUDOWEJ



Obróć się, Maryś, dokoła,
a czy jest tu twoja rodzina cała?

Są ci tu wszyscy, co trzeba,
jeno mi matusię wzieni do nieba.

Są ci tu wszyscy, co trzeba,
jeno mi tatusia wzieni do nieba.

„A wstań ty, matko, wstań z grobu,
pobłogosław córce do ślubu.

A wstań ty, ojczu, wstań z grobu,
pobłogosław córce do ślubu“.

Są ci tu ludzie na świecie,
co pobłogosławiają sierocie.

A jakby ludzie nie chcieli,
to pobłogosławiają anieli.

Sierotom, we wsi na łaskawym chlebie żyjącym, śpiewajmy. Sierotom, bez matusinej opieki, bez matusinej ręki, serca i... chleba. Sierotom, bez ojcowego mocnego słowa, bez ojcowej roboty serdecznej na dziecińskim polu.

Sierotom, bez nijakiego serca bratniego żyjącym, jeno w opiece Matusi Najświętszej będącym.

Sierotom, co przy matce i ojcu, w sercach swoich i pomyśleniu same są, opuszczone. Sierotom dzieciom, matkom, ojcom.

siostróm, bracióm, ukochanym, przyjaciółóm, od których odeszli najdrożsi, jedyni.

Śpiewajmy ze starą, ojcową, cudną wiarą, prostą, jak proste jest dobre serce człowieka: w ludzką i Bożą Dobroć! w Boże i anielskie opiekuństwo, w ludzkie miłosierdzie, w błogosławieństwa Boże — dla sierót i dla tych wszystkich, którzy sierotom kąć w izbie, łyżkę strawy. przytulenie w sercu i słowo dobre dać zechcą.

Piosenka smutna. Ale nie na to, aby płakać i użalać się i tęsknić jeno. Nie na to, aby krwawić serca sierót. Nie na to, aby dotykać ran. Jeno — aby krzepić!

Nie można jej „grać”. Trzeba stać się samej sierotą — i ludźmi dobrymi, i aniołami.

— — — — —
Nie teatr. Niema sceny.

Siedzimy w kole, w izbie, w zaduszkowy dzień. W izbie, co pamiętała babusię i prababkę — i najstarszych dziadów naszych. W izbie, gdzie od lat pali się na kominie ogień i grzeje, i karmi, i skupia koło siebie, Rodzinę. W izbie, gdzie modlono się przez długie lata o błogosławieństwo Boże.

Wspominamy. Tych drogich, tych jedynych, tych, znajomych, sąsiadów..

Jedni byli dobrzy, zostawili po sobie tyle, tyle pamięci w uczynkach, z miłości płynących. Inni byli prędzej zapomniani!

Ale wszyscy — żyli. Żyli czynem, radością, nędzą, cierpieniem, męką.

Żyli — i kochali. Wszyscy. To kochanie łączyło, i łączy, i łączyć będzie ludzi, dokąd żyć będą.

Życie — kochanie.

Dwie wielkie prawdy — boże, ludzkie, nieśmiertelne.

Młodzi chcą pokazać ojcom, co czują. Chcą pociechą serdeczną skrzepić wszyściutki świat, starych, młodych, cierpiących.

Przez łzy, przez poruszenie serc, do pospólnego czucia, do wiary!

Dziewczyna młoda, czuła, dobra. Sierota. I druga, przyjaciółka, bierze Marysię za rękę, wyprowadza ją na środek izby i śpiewa — sama. Śpiewa żałośnie. W tej pieśni nie bójmy się przesady w żalości. Toć to z żalonych Błogosławin przed ślubem zawodzonych, płaczących wyjęta.

„Obróć się, Maryś, dokoła”,

a czy jest tu twoja rodzina cała?

Śpiewa wolno, dokoła pogładając.

Marysia, zrazu cichuteńko, potem żałośniej, silniej śpiewa o tem, iż jej matusię i tatusia wzięli do nieba.

Rączki żałośnie rozkłada, kołem je zatacza, załamuje. Sama już jest w pośrodku ludzkiego koliska.

Aż wybucha — buntem!

Woła rodziców na ziemię! Przyzywa, kochajacem sercem nakazuje!

„A wstań ty matko! wstań z grobu“! Woła rozdzielającym głosem, rękami podnosi jakby matusię z grobu, to znów w górę ręce wznosi, do duszy matczynej.

Aż rozżalona, bolesna, na kolana pada, głowę ramieniem osłania i o błogosławieństwo prosi:

„błogosław córce do ślubu“.

Tak samo do ojca woła, odbiegła jeno w inną stronę, do tatusiowego grobu.

Ale oni nie wstają.

Kłęczy Maryś, złamana, samiuteńka, Boże — Boże sierot!

Wszyscy czujemy jedno: iść, rwać się ku niej! Utulić, matkę, ojca zastąpić.

A delikatnie, a miękuchno, a nie zranić czem, broń Boże. cicho... cicho...

Cicho w izbie, w sercach...

Za oknami listopadowy wiaterek zcichł... Cicho...

Czujemy jedno. Wstajemy, bez szelestu prawie i idziemy, jak dobre, ciche dusze nasze, ku jej sieroctwie. Już, już dotknąć jej mają miłosierne ręce nasze.

A idąc, śpiewamy, duchem raczej, w sobie jakby.

„Są ci tu ludzie na świecie, co pobłogosławią sierocie“.

Nikt nie śmie zamącić ciszy. Stoimy...

Marysia, klęcząca, główkę jeno uniosła, obraca ją wkoło, pogląda ku nam przez łzy, jakby pytała: ludzie! czego wy! co wy? — Rozumie, ramiona już wznosi, wtem...

We drzwi, do izby naszej prostej wchodzi prawdziwi, biali, anieli Boży. Jeden ich wiedzie, za ręce się trzymających. U drzwi stanęli.

Nie chcą przeszkadzać ludziom.

Jeno, żeby Maryś wiedziała, że jakby ludzie nie chcieli...

To patrzy z nieba gwiezdny — Bóg. To pogląda na jej główkę jasną Matuchna Boża... To od Niej...

Śpiewają tak słodko, a tak cicho... Przyobiecują.

I poszli.

Gospodyni podnosi Marysię, i do ognia, do komina pociąga, do swoich dzieci.

Co kto może, to mówi teraz: słowa pociechy, radości, jak kto może...

Bo i czegożby się dziwować.

Nie cudne w chałupie anioly.

A i sam Pan Jezus bo to po chałupach nie chodzi? Jeno po wielkich, zamkach, pałacach dziwowałiby się ludzie temu cudowi, a i bali może...

My tu wierzymy wszyscy, od praojców, od dawien dawna, że Bóg sam jest prostych ludzi bratem.